[illegible] Kraków, 1 listopada 1920 r. Nr. 21.



„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie z przes. poczt. 39 M. 90 f. Do Ameryki rocznie 6 dolarów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 63 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień“, Łódź, Piotrkowska 81.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 2·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 3, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 4·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 12.

Numer pojedynczy 8 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 8 Marek.



ŚWIAT NA OPAK!

KOKOTA (do starszej koleżanki): Ten mężczyzna ma prześliczne rysy!... Spróbujmy! może da się zaprosić do gabinetu!

Od Wydawnictwa.

Z powodu regulacyi płac personalu drukarskiego, jesteśmy zniewoleni do podwyższenia prenumeraty z dn. l-go października b. r.

Cena pojedynczego numeru tak w mieście, jak i na prowincyi, wynosi 8 Mk. kwartalnie 45 Mk 60 f, półrocznie 91 Mk 20 f, rocznie 182 Mk 40 f.

Nieznośny bocian!

— Ten bocian to nieznośny ptak!... Nie mógł się to pomylić i położyć mnie w kołysce w jakim hrabskim domu!

— A jednak on się często myli!... U nas naprzykład pomylił się i przyniósł córeczkę zamiast mej zamężnej siostrze, tej co jest jeszcze panną!... Powiadają, że ta wojna tak źle wpłynęła na oryentowanie się bocianów!...

Wrażliwa.

— Przyspieszony ruch ciała, moje panienki — wykładała pani nauczycielka — wpływa na podniesienie się jego temperatury, czego dowodem jest występowanie na twarz rumieńców...

Słysząc o przyspieszonych ruchach ciała, na samo ich wspomnienie zarumieniła się panna Lola po same białka!...

Znawca biblii.

— A skąd pochodził Lot?

— Z Wieliczki... proszę księdza katechety...

Nieporozumienie.

— Ostatni raz widziałam pana w zupełnie innych okolicznościach...

— Być może, pani dobrodziejko!... Ale tamte się już podarły i musiałem sobie sprawić nowe!...



Sprawa honorowa.

W pewnej kawiarni przyszło do sprzeczki pomiędzy młodymi ludźmi na tle ich politycznych zapatrywań.

— Oświadczam panu, panie Kohn — rzekł przeciwnik — że jesteś pan bydlę i kanalią ostatniego rzędu!

To rzekłszy, wstał od stołu, zostawiając pana Kohna i jego towarzysza, którzy wprawdzie zerwali się z swych miejsc, oburzeni tem zuchwalstwem, ale.. zaraz usiedli z powrotem.

Po chwili ode wał się towarzysz:

— Kohn!... Ty się powinieneś obrazić i wyzwać go!

— Ja?... Ciekawy jestem, dlaczego ja?... To twój obowiązek, bo on obraził twojego przyjaciela, który był w twojem towarzystwie!

— Tak!... Masz racyę!... Już ja z nim zrobię porządek!...

Widocznie poczuł w sobie dzielnego ducha Machabejczyków, bo podszedł ostro do stołu przy którym zasiadł ten trzeci i zagadnął go:

— Panie!... Pan użyłeś wobec mojego przyjaciela nieodpowiednich słów...

— Tak!... Nazwałem go bydlęciem i kanalią i tego nie cofam!... — odpowiedział.

— Czy pan to powiedziałeś na seryo, czy w żarcie?

— Na seryo!

— To całe pańskie szczęście!.. Ja podobnych żartów nie znoszę... W danym wypadku byłbyś pan miał ze mną do czynienia!...

I odszedł z powagą, zadowolony, że spełnił, co do niego należało.

To samo.

— Przy socyalizacyi kobiet, propagowanej przez bolszewików, położenie kobiety musi być straszne!...

— E, tak, czy tak, położenie jest to samo!

(a)

Kto winien?..

W pewnem biurze zwraca się szef do maszynistki z uwagą:

— W tym akcie, który pani przepisywała, aż się roi od błędów ortograficznych!..

— To nie moja wina!... — broni się biedaczka — Z pewnością maszyna musi być zepsuta i źle odbija!...

— Ma pani racyę!... Muszę się postarać o kredyt na sprawienie innej...

W niebiesiech

Po obiedzie, nie mając nic lepszego do roboty, zasiedli święci do preferansa.

Święty Jakób zapowiedział mizerkę, święty Tomasz, który dotąd nie uwierzy. dopóki palca nie włoży, tym razem dał na ślepo kontrę, kazał partnerowi wyłożyć karty i zabrał się do dzieła, aby przeciwnika „wpakować chcć na dwie lewy". Obliczył, że musi on mieć dziewiątkę pik, podchodzi więc ósemką, aby go złapać, ten jednak rzuca siódemkę...

A siódemka pik leży przecież na stole, między kartami innego partnera.

To św. Tomasza zgniewało, zwraca się więc do Jakóba ze słowami:

— Mój kochany!... Nie rób cudów!... Tu są one nie na miejscu!... My tu gramy o pieniądze!...

Pocałunek wojny.

— Jakoś Kazi nie widuję!

— „Pocałunek wojny"!...

— Nie rozumiem!... To tytuł sztuki z „Bagateli".

— Nie!... To kawałek dziejów życia panny Kazi!... Pocałunek wojny — rozumieć należy tak: Znajomość z oficerem francuskim i konieczność wyjechania z tego powodu na wieś na krótki czas...



LUDOWIEC

(OBRAZEK Z ŻYCIA SIELSKIEGO).

Pan Karol, właściciel Koziego Ogona z przyległościami, był ludowcem w całem tego słowa znaczeniu. Nie należał wprawdzie ani do obozu Piastowców, ani pod sztandary Stapińskiego, kochał przecież lud, nie mając bynajmniej ochoty zr bić karyerę polityczną na tej miłości. Choć, gdyby był tylko chciał, byłby już dawno zdobył mandat do Sejmu „z woli ludu".

Ale pan Karol w politykę się nie bawił. Jego ideałem była praca na roli i staranie się o dobro ludu.

Jego względami cieszyła się zwłaszcza piękniejsza część włościaństwa, choć i płci brzydkiej bynajmniej sobie nie lekceważył, aby tamtej do siebie nie zrazić. Kochano go też ogól nie i nie nazywano inaczej, tylko „nasz pan". W Kozim Ogonie spełnił się marzenie poety, który śpiewał: „Jeden tylko, jeden cud — z polską szlachtą polski lud".

Losy, a głównie wola rodziców, połączyły pana Karola nierozerwalnym węzłem z panią Anną, osobą bardzo dobrą, ale słabowitą. Małżeństwo, jak mówiono w okolicy, było szczęśliwe, lecz bezdzietne. Winę w tym kierunku ponosiła wyłącznie pani Anna, gdyż małżonek miał aż nadto urzędowych dowodów na stwierdzenie swej męskiej tężyzny. Brak męskiego potomstwa bolał go też srodze i dałby wi le za to, gdyby źle dało się u unąć. Pani Anna zasięgała już porady różnych specyalistów, niestety, nie mogła trafić na właściwego... Nawet i bociany w okolicy były ludowcami, omijając staranie dwór, bardzo zaś chętnie zakładały swe gniazda na chatach włościańskich, w czem dzielnie im dopomagał pan Karol.

Niech tylko pan dziedzic dowiedział się, że bociek zawitał do któregoś domostwa w Kozim Ogonie, cieszył się tem, jak gdyby to szczęście jego spotkało, nie opuścił żadnych chrzcin, nie szczędził też podarunków na rzecz noworodków. Temu dał krowę, tamtemu parę zagonów pola, innemu kilka słówek. Należało do wyjątków, aby się pamięci pana dziedzica trzeba było przypominać w drodze listu adwokackiego lub skargi sądowej, choć zdarzały się i podobne wypadki.

I to, dziwnym zbiegiem okoliczności tam, gdzie na jego konto „wlazł ktoś w kapustę", a on musiał płacić i cierpieć „za winy niepopełnione".

Pani Anna, poznawszy bliżej sposób życia swego małżonka, robiła mu początkowo z tego powodu niejednokrotnie wymówki, ale on zawsze się jakoś potrafił wytłumaczyć.

— Moja droga!... — mówił. — Do mnie nie możesz mieć urazy. Obowiązki swoje spełniam chyba należycie..

Milczenie jej było dowodem, że mówił prawdę, a on wtedy kończył:

— Dobry gospodarz i swój grunt należycie obrobi i sąsiadowi pomoże... A i dla ludu trzeba coś zrobić... Uczeni powiadają, że krzyżowanie ras jest wskazane!...

Pogodziła się zatem pani Anna z przykrą rzeczywistością i prowadziła spokojny żywot przy boku ruchliwego małżonka, starając się zapomnieć o swych zmartwieniach w gorliwem zajęciu się gospodarstwem.

Rósł też z każdym dniem dostatek, a Kozi Ogon podnosił się coraz wyżej, stworzono prawdziwy i godny naśladowania wzór racyonalnie prowadzonej gospodarki i zgodnego współżycia dworu ze wsią.

O jakichś strajkach rolnych nikomu się tutaj nie śniło. Mógł się tu zjawić najoporniejszy agitator, chcący lud wrogo usposobić wobec dworu, próżna była jego praca. Trzymali się też wszyscy zdala od Koziego Ogona

Służbę dworską przyjmował sam pan Karol, nic też znowu w tem dziwnego, że personal folwarczny i dworowy przeważnie z żeńskiego składał się z samych, jak to mówią „numerów obrazowych".

— Siedzi człowiek ustawicznie w domu i świata Bożego nie ogląda — zwykł był mawiać pan Karol — niech bodaj widzi koło siebie młode i ładne gęby.

Dziewczęta wiejskie szły do dworu chętnie na służbę, gdyż pan dziedzic wydawał je potem zamąż i odpowiednio wianował. Wprawdzie panowie młodzi byli zwykle już dość starzy, ale czy to na podobną głupstwa zważa dziewucha wiejska?... Je wszystko jedno, łody czy stary, byle miała chłopa.

Kandydaci do stanu małżeńskiego rekrutowali się z pośród służby rodzaju męskiego. Pan Karol dobierał z zasady starszych i brzydkich, prawdopodobnie w tym celu, aby się uchronić od konkurencyi.

Wyjątek stanowił jeden Franek, stangret i zaufany pana Karola. Chłopak młody i przystojny, nie wchodził jednak Jaśnie panu dziedzicowi w drogę, a jeśli kiedy wszedł, to tak, iż ten o tem nie wiedział

I obu było z tem dobrze.

Powiernica pani Anny była natomiast jej imienniczka Hanka należąca nie tyle *de nomine*, ile *de facto* do płci pięknej.

Pan dziedzic niejednokrotnie już próbował



Z galeryi typów

1 Andruś.

Nie ma ojca, nie ma matki,
Zazwyczaj go ciotka rodzi.
Wszyscy mówią, że on kradnie,
On naprawdę nie jest złodziej.

Na Powiślu kształci umysł,
W szynku kształci podniebienie,
Gardzi zawsze „salcesonem“,
Ma swobodę bowiem w cenie.

Szuka wrażeń i guzików,
Zwykle jednak znajdzie guza,
Wzrok zaduma mu ocienia,
Cnoe ma głowę, jak Meduza.

Więcej duszy ma niż ciała,
Więcej sprytu niż pieniędzy,
Żyje nader prozaicznie,
Poetycznej resztą przędzy.

Więcej serca ma niż bankier,
Więcej mózgu niż i atom,
Lecz to powie nam dopiero
W prosektorium — pan anatom.

Źle zrozumiał

Mały Jaś czyta głośno w biblii rozdział pod tytułem „Święty Paweł w Efezie“.

Co też wymyślasz — zwraca jego uwagę ojciec — W tym czasie, gdy żył święty Paweł, fezów jeszcze nie znali, jakże więc mógł chodzić „we fezie“?...

Jojne - kuglarz.

Srul i Jojne znaleźli się przypadkiem na pewnym obiedzie, który pan poseł urządził dla swych wyborców. Pracowali ciężko, należało im się też zaproszenie.

Jojne siedział naprzeciw Srula i widział, jak ten wziął srebrną łyżkę ze stołu, oglądał ją i schował za cholewę, przekonawszy się, że jest srebrna. Chciał mieć widocznie pamiątkę i dowód, że był u jaśnie pana na obiedzie. — Zrobiłby i on tak samo, ale się bał, bo nuż go kto dojrzy?...

Ale, co głowa, to rozum...

Obiad miał się już ku końcowi, zabawiano się miłą rozmową. Potworzyły się kółka, każde mówiło o czem innem. Jojne sprowadził rozmowę na sztuki czarodziejskie, opowiadał, że widział w Wiedniu profesora Bosko, że to nawet jego krewny daleki i że nauczył go różnych sztuk!

— Może państwo nie wierzy?... — mówił Jojne — Ja mogem pokazać!...

Naturalnie zgodzono się na to, a Jojne wziął z nakrycia srebrną łyżkę, podniósł ją do góry, oglądał jeszcze raz dla pewności, potem rzekł:

— To jest srebrna łyżka!... Prawda?...

— Prawda!.. — odpowiedziano chórem.

— Otóż ja tę srebrną łyżkę chowam do cholewy od mego buta — mówił dalej — zrobię z rękiem kilka znaki, a łyżka znajdzie się w cholewie od Srula...

I zaczął wymachiwać rękami, Srul zaś zaczął się kręcić.

— No, Srul! — rzecze Jojne — Ty potrzebujesz sięgnąć za cholewę, czy tam niema srebrne łyżke!

— Ni!... — odpowiedział ten, nie sięgając wcale we wskazanym kierunku.

— Przekonaj się!... — mówił Jojne, pewny siebie — Ona tam musi być!...

— Ni!... — powtórzył Srul stanowczo — Tam jest srebrny wydelec!...

I wyciągnął go, choć z bólem serca i pokazał zebranym, a potem położył na stole.

Jojne się zatem pomylił, ale to było następstwem jego krótkiego wzroku, wpłynęło zresztą na zwiększenie jego sławy, że potrafił łyżkę zamienić na widelec...

Gdy po obiedzie wracali razem do domu, robił Srul Jojnie wyrzuty, że go pozbawił zdobyczy...

— Ja to zrobiłem umyślnie, aby twój honor uratować, ty *ganef!* — tłumaczył Jojne — A nuż kto widział?... A był tam i sędzia i wachmistrz żandarmeryi!... Ale ty się nie martw!... Ja mam łyżkę, a łyżka więcej warta, niż wydelec... Jak ja ją sprzedam, to się podzielimy!...

Ballada.

Donna Inez dłoń przyłoży
Do tchnącego żalem serca:
— Ha! Fabrycy inną kocha!
Wiarołomny przeniewierca.

Tu odeszła do ogrodu,
Czując w duszy żal i pustki,
I otarła nos kułakiem,
W praniu bowiem były chustki!...

Sielanka.

Jesień — piękna polska jesień — więc i mokra i zimna. Na polu kopią ludzie ziemniaki, drogą jedzie wózkiem dziedzic, znany z tego, że bardzo kocha lud wiejski, zwłaszcza zaś piękniejszą jego połowę.

Bystre jego oko dojrzało między kopiącymi Kaśkę, która mu się podobała. Chciał sobie zażartować, wstrzymał więc konie i mówi do służącego:

— Wojtek!... A skocz no i zapytaj Kaśkę, dlaczego ona ma takie czerwone nogi!

Wojtek spełnił rozkaz i dowiedział się z ust wiejskiej krasawicy krótko a węzłowato:

— Bo mi się w d..... pali!...

Słowa jej powtórzył dziedzicowi. Widocznie mu się spodobały, wyjął bowiem z kieszeni papierosa i podając go Wojtkowi, mówi:

— A to doskonale!... Zostawiłem w domu zapałki, a chciałbym sobie zakurzyć!... Idź jeszcze raz i zapal!...

Posłuszny Wojtek wrócił, aby spełnić rozkaz, a gdy Kaśka usłyszała o co się rozchodzi, rzekła, odwracając się doń tyłem:

— A to se zapol!... Ale musisz naprzód dobrze rozdmuchać, bo ogień na wilgoci przygasł... A dosz radę?...



zdobyć jej względy, nigdy mu się to przecież nie udało. Hanka pozwoliła się i pogłaskać pod brodę i uszczypnąć, a ona odpowiadała przyjaznym uśmiechem, ale też i koniec na tem, a to pana Karola doprowadzało do pasyi. Takie „niezdobyte fortece“ miały i mają zawsze swój urok.

I dalej pan Karol robił do Hanki słodkie oczy, aż wreszcie udało mu się zrobić wyłom w murach tej fortecy. Granatem, który miał roztrzaskać bramę wjazdową, była obietnica, że, jeśli się będzie dobrze sprawowała, wywianuje ją należycie, gdy będzie szła za mąż. Dostanie krowę z cielęciem, prośną świnię i trzy gęsi...

Któraż wiejska dziewczyna potrafiłaby się oprzeć takiej obietnicy, zwłaszcza że wiedziano, iż dziedzic w takich wypadkach obietnicy dotrzymuje...

Stanęła zatem umowa, że Hanka ma wieczorem, gdy się ściemni, znaleźć się w śpichlerzu i tam czekać na pana, który jej „coś powie“...

Bal.. Ale Hanka bardzo kochała swą panią i nie chcąc jej sprawić zmartwienia, wyspowiadała się jej ze wszystkiego...

Pani pochwaliła jej szczerość, obiecała, że obietnica pana ją nie minie, a i ona coś od siebie doda, zakazała jednak nawet pokazywać się w tej stronie śpichlerza...

— Ja pójdę za ciebie — rzekła — i powiem panu, że to nieładnie nastawać na cnotę uczciwej dziewczyny...

Wieczorem, gdy się już ściemniło i był czas odpowiedni na umówioną schadzkę, obudziły się, raz może pierwszy w życiu pana Karola jakieś skrupuły...

— Co na to powie żona?... — nasuwało mu [illegible] — Ona Hankę tak lubi[illegible]

I choć mu to z trudem przyszło, jakoś się przezwyciężył, nie chcąc jednak zrobić zawodu czekającej nań, zawołał Franka i rzekł mu krótko:

— Franek!... Idź-no do śpichlerza. Tam czeka Hanka... Powiedz jej, że dziś nie mam czasu... A spraw się należycie, bym się za ciebie wstydzić nie potrzebował!...

I uśmiechnął się, a Frankowi aż się oczy zaświeciły, jak u kota, bo i on „miał się do Hanki“ i ani przypuszczał, że się trafi taka gratka...

Pan Karol odetchnął. Sumienie mówiło mu, że postąpił uczciwie i że go za to nie powinna minąć nagroda...

I z miną tryumfatora, jak gdyby chciał się pochwalić z odniesionego zwycięstwa, poszedł do pokoju żony.

Któż jednak opisze jego zdziwienie, gdy żony nie zastał, ujrzał natomiast Hankę, kręcącą się po pokoju.

— Toś ty nie w śpichlerzu?... — zapytał.

— A nie!... Pani nie pozwoliła!...

— Musiałaś się wygadać?... A gdzie pani?

— Pani poszła do śpichrza!...

Jakby piorun uderzyły weń te słowa, zwłaszcza, gdy sobie przypomniał polecenie, które dał Frankowi na odchodnem. Wypadł z pokoju jak bomba i pospieszył do śpichlerza... Zamknięte!...

Wali w drzwi pięściami i nogami, nikt się nie odzywa... Wreszcie woła:

— Franek!... Psiakrew!... Otwieraj!...

W tej chwili doszedł jego uszu jakiś dziwny okrzyk niewieści, w którym malowało się przerażenie, ale i zdziwienie, a równocześnie słowa Franka:

— [illegible]

lubię!... Niech się pan dziedzic nie boi, nie będzie się potrzebował za mnie wstydzić!...

— — — — — — — — — — — — —

Jak się wyjaśniło nieporozumienie i co z tego wynikło, to tajemnica dworu w Kozim Ogonie. To jedno jest pewne, że pan Karol prowadzi dalej żywot ruchliwy, pani Anna spokojny....

Przed tygodniem zwiastowała pani Anna panu Karolowi... słodką tajemnicę. Przyjął ją na pozór obojętnie, ale przez mózg przeleciało mu wspomnienie owej sceny w spichlerzu z przed kilku miesięcy... Potem rzekł:

— To dobrze się składa!... Ja już postarałem ci się o mamkę... Potem się Hankę wyda za Franka, bo oni się mają ku sobie!...

A znalazłszy się w swym pokoju, rozważając zdarzenia z dnia całego, rzekł do siebie z filozoficznym spokojem:

— A jednak uczeni mają racyę, twierdząc, że krzyżowanie ras ma swe dobre strony!... Tyle lat czekałem na potomstwo!... Lud odpłacił mi się za miłość, jaką mu zawsze okazywałem!...

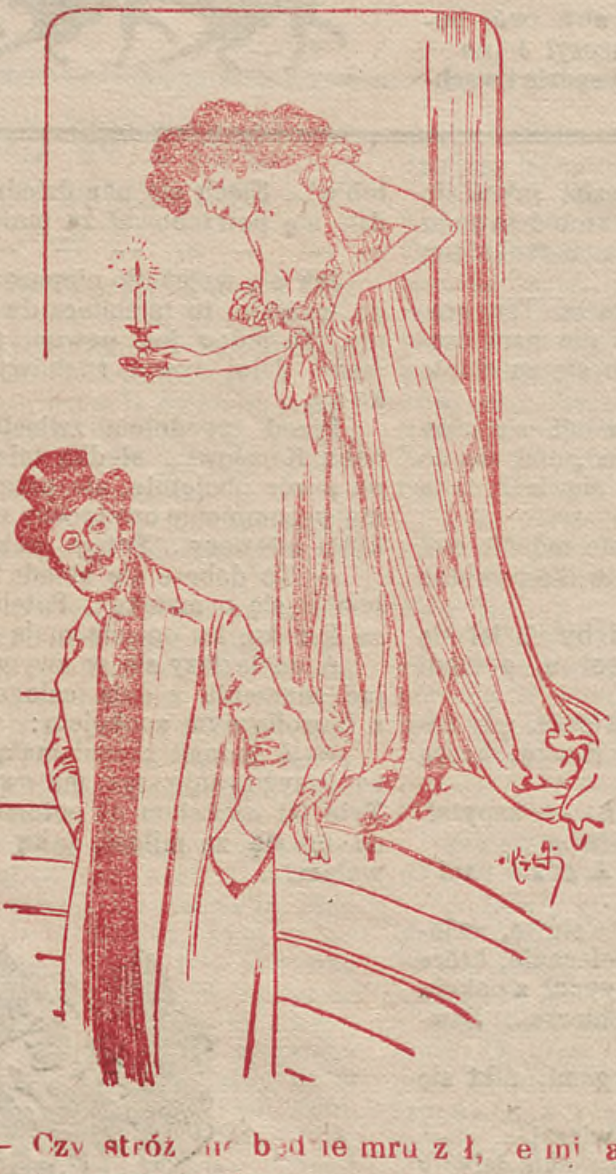




— Jestem postępową pokojówką. Żądam od państwa mego trzechgodzinnego dnia pracy, 50% koszykowego, wspólności stołu i komody!



— Wyglądasz w tej chwili jak Wenus z Medycyny!
— Dlaczego mama od razu nie powie Wenus z Prosektorium?!



— Czy stróż nie będzie mruczał, że mi tak późno w nocy otwiera.
— Bądź spokojny!... Tu ojciec mój jest stróżem w tej kamienicy!



Kokota: Kto, czego, a najważniejsze: z czem?!



— Załącza mi w liście tysiąc pozdrowień i milion całusów. Wolałabym te cyfry mieć w markach wyrażone!



— Żądam odszkodowania 5000 marek.
— Zgoda, ale marek listowych!



— Związałam się ze starym. Ha! no! ryzykuję... Może coś zapisze... bodaj bieliznę, którą daje do prania



— Powiedz przynajmniej jak się nazywa twój uwodziciel...
— Nie wiem nawet, nie przedstawił mi się wcale
— No patrzcie państwo! Ta małpa nie wie nawet z kim miała przyjemność!

Ferdek Eleuteryk.



Kużdy z mindzynarodowych obewateli, o ile nie jest do cechu paskarskigo należący, zamienił się w lwa. Nie dlatygo, aby był taki odważny, jak lew, ino skroś tygo, że jest jako ów lew ryczący, który nie wi, kogo pożryć. Bo, choć się jest Boże Narodzynie zbliżające, a nie Wielganoc, zaczyno sie znowu wielgi post. Ni ma chleba, nima minsa, trunkowość wszelaka jest pod psem.

Majestrot daje zamiast chleba pencok, a po nim zamienio się człowiek na karabin maszynowy, a że wojna już sie skuńczyła, to sie i bez karabinów maszynowych obeńdzie.

Żniwa sie pono udały, ale wielgie wozignojki i małe biedronie wolą być żyto i pszenicę na pasek puszczający, niż do aprowizacyji odstawiający, jako iż są wiedzący, że nic się im nie stanie, bo kruk krukowi oka nie wydzióbie. A choć go tam starostwo zasądzi na ul i karę pinięźną, to od czegóż rekurs?... Znom jednygo, którymu na wiosne za niedostawienie zboża kozali wybulić dwadzieścia pięć tysięcy štrofu i na šternoście dni pójść do paki, ale cwany binios poknajoł do kancelaryji męcynosa który był do tygo jeszcze i ministrem i taki ci mu nagrypsoł rekurs, że wszyscy płakali czytający i zaroz mu ten ul darowali. Rzekli tylko: „Dawoj hopy!..." Ale on wali drugi rekurs, że jest bidok. I tymu uwierzyli i kozali płacić ino pięć tysięcy. Nie wiem, co sie dalij stało, ale, jeżeli wniósł jeszcze trzeci, to mu pewnie jem darowali całą karę a przy czwortym jeszcze coś dopłacili, aby mioł być z czego żyjący.

Ale są jeszcze ludzie, korzy se takie nieprzyjemności są do serca bierący, jako na ten przykład ten pan radca, którymu kozali zapłacić pół miliona za mikrną ino pomyłkę. Pomylił sie bidoczysko, ino o dziesięć morgów przy wykazowaniu, ile mo gruntu. Kalkulowoł sobie, że dziesięć morgów mnij, dziesięć więcyj to fraszka, w urzyndzie sie nie połapią (któżby zreštą panu radcemu nie wierzył?...), zboże sie sprzedo, hopy schowo i będzie klawo. Ale te cholerniki wrazili nos, gdzie nie potrza wobec pana radcego nijakigo respektu nimający. I rypli mu poł milijona, a *Kuryjerek* zaczon krzyczeć: „Oczyścić Radę miejską z paskarzy!"...

Ładnie to powiedzieć, ale kto będzie wtedy radził?... A że tam radca bawi się paskiem, to nawet i lepij, bo gminie wtedy jest spokój dający.

Spotkałem kiedyś tygo bidoka. Taką mioł smutną minę, jak nieboszczyk, gdy sie objił kunerolu. Som mnie zaczepił i tak gwarzy:

I co pan na to, panie Ferdek?

— Niby na co?... — pytam, nic nie wiedzący udający.

— Ano na to, co mnie spotkało!... Coś mnie prześladuje, ale ja się tem pocieszom, co mówi Pismo święte: „Błogosławieni, którzy cierpią dla sprawiedliwości!"...

— A sypio pon radca spokojnie?

— Naturalnie!... Zresztą w tym wieku, co jo jestem, noc jest ino na sen przeznaczona!

— To klawo!... Jeżeli pan sypio spokojnie, to dowód, że pan jest człowiek sprawiedliwy!... Sprawiedliwi śpią nawet i podczas powodzi Rady miejskiej... A o tym cierpieniu dla sprawiedliwości, to pan rzekuon tak fajno, jako ten, który się był chwalący, że cierpiał za Chrystusa, a potym się pokozało, że buchnął srybrny krzyżyk i dostał się zato do ula...

Takie to morowe są te nasze wozignojki. Jedni zboża nie chcą odstawić, drudzy się mylą. Ile mają gruntu, a mindzynaród cierpi skróś tygo i musi się opychać pęcakiem, co mu jednak na zdrowie nie jest wychodzące. Zamiast pęcnieć, chudnie, fakiem mu trzęsie, a pozeszłoroku w tym zmartwieniu nie znajdzie nawet i u Sapsi, który, choć chłop z wiary, ale sznapiturę daje coraz gorszą, a tłómaczy się, że temu nie spirytus winien, ino woda, bo i ona tyż się bez wojnę popsuła.

Do bani z takiem życiem!... jak mówił Kopernik. Dawniej, jak se człek należycie wsunon, to i społ klawo, a teroz, jeżeli śpi, to z głodu, a gdy się obudzi, to mu się jeszcze bardziej chce jeść i od samygo rana jest jako ów lew ryczący...

Gdzie większe bezpieczeństwo?

Po srebrnej lodu powłoce
Drobna nóżka, niby strzała
Mknie w stalowy pancerz skuta,
Taka pewna, taka śmiała!

Choć się wiotka kibić chyli,
Równowagę traci snadnie
Lecz przytomna w tejże chwili
Pomknie dalej — nie upadnie!

Nie upadnie — przeświadczona,
Że w upadku owej sprawie,
Trudniej upaść jest na lodzie,
Łatwiej za to — na murawie!

Wymiana depesz.

Pani Kohn, spodziewając się odwiedzin bociana, a wiedząc o tem, że ten ptaszek swobodniej się czuje na wsi, niż w mieście, wybrała się na wieś do krewnych, męża zostawiając w domu. Na odjezdnem, znając jego słabość do płci nadobnej, prosiła, aby uważał na siebie i wstrzymał się aż do jej powrotu...

Gdy już było po wszystkiem, a młody Kohn darł się w niebogłosy w kołysce (jak gdyby nie był neutralnym!...), zatelegrafowała pani Kohn do męża: „Miałam chłopca. Jestem zdrowa", sądząc, że zjawi się niebawem, aby nacieszyć się widokiem następcy tronu.

Niestety, nie przyjechał, zamiast niego nadeszła również lakoniczna, jak poprzednia depesza: „Miałem dziewczynę. Jestem słaby".





Spadł mu kamień z serca!

— Tate!... — mówił Srulcio do swojego ojca — Ja się chce żenić z panną Magenbitter...

— Magenbitter?... — powtórzył rodzic z miną zakłopotaną — Ty się z Magenbitter żenić nie możesz!...

— A dlaczego?

— Dlaczego? Ja tobie powiem!... Ona jest twoja siostra!...

— Moja siostra?...

— Tak! Jak ja byłem jeszcze kawaler, to ja si potrz bowałem kochać w jej matce i nawet miałem się z nią żenić... Ona wyszła za Magenbittera, ale my się kochali dalej i jej córka to jest moja córka...

Srulcio bardzo się zmartwił, gdyż panna Magenbitter bardzo mu się podobała, zwłaszcza zaś jej interes, który miała odziedziczyć po matce. Był to sklep galanteryjny, aby kto nie myślał co innego!... A i pan Pomeranz był zmartwiony, że Srulciu nie może się połączyć z tak zamożną rodziną.

W swym kłopocie udał się Srulcio do mamy, aby u niej szukać porady i pocieszenia. Opowiedział jej rozmowę z ojcem, a ona mu na to:

— Ty si możesz żenić z Magenbitter!...

— Kiedy ona moja siostra!...

— Nic się nie bój!... Ona nie jest twoja siostra!... Ona może być córka od Pomeranza, ale ty nie jesteś jego syn!...

Srulcio ucieszył i pobiegł do ojca z radosną wiadomością:

— Tate!... Ja się mogę żenić z Magenbitter!... Ona nie jest moja siostra!...

— Nie?... A skąd ty to wiesz?...

— Mame mi powiedziała, że ja nie jestem twój syn!...

— Tak?...

I rozjaśniło się teraz oblicze i panu Pomeranzowi... Kamień spadł mu z serca!... Jemu tak zależało na połą zeniu się z bogatą rodziną Magenbitter!...

Żałobne wspomnienie.

Po pogrzebie wraca z cmentarza grono znajomych, które odprowadziło na miejsce wiecznego spoczynku [illegible] śmiertelne szczątki ś. p. pani Eulalii Podrygalskiej.

Rozmawiają na temat zasług zmarłej.

— Te zacne ręce wiele łez nieszczęśliwym otarły!... — mówił radca z przejęciem.

— Źle się kochany radca wyraża!... — odzywa się na to jego towarzysz. — Że nieboszczka ocierała łzy cierpiącym, to prawda, ale przeważnie nogami, nie rękami, brała bowiem bardzo czynny udział we wszystkich komitetach, urządzających zabawy tańcujące na rzecz biednych...

W ferworze.

— Mojem nazwiskiem nie pozwolę lada komu podcierać sobie gębę!...

— A co można?...



Z listów Hermogenesa Klapy

Kochana Redakcyo!

Pan Millerand urządził swoją instalacyę w Pałacu Elizejskim, jak się patrzy, a głównym punktem porządku dziennego, raczej wieczornego, były doskonałe kiszki, wyborne podgardle, salami, że proszę palce lizać. Jedząc te specyały, przeniósł się człowiek myślą w dawne przedwojenne czasy, gdy, aby sobie módz coś podobnego urządzić, nie trzeba było być prezydentem Francyi!

Prosiaczka, z którego delikatnego ciałka sporządzone były te kiełbasy, wykarmiła sama pani Millerandowa, była też z tego powodu przedmiotem bardzo gorących owacyi, a jeden z członków Akademii Francuskiej napisał na jej cześć wspaniałą odę, jakiej nie powstydziłby się Annunzio, Stwora lub Bieder.

Ponieważ wiem, że gospodarstwu sprawia to radość, gdy goście mają apetyt, jadłem za czterech. Trzeba było nabrać sił, po kolacyi czekała mnie bowiem droga ...do Rygi. Niechaj jednak ktoś przypadkiem nie sądzi, że może z powodu przeładowania żołądka... Broń Boże!... Wyrwały mnie tam obowiązki zawodowe. Przed kolacyą wziął mnie bowiem na stronę i rzekł:

— *Mon chere* Klapa!... Musisz jechać do Rygi i to zaraz po kolacyi!... Jakoś się nie mogą zdecydować na podpisanie!... Rób, co ci się podoba, niech to kosztuje, co chce, byleśmy tego jednak nie potrzebowali płacić, a rozejm musi być zawarty!... Najlepiej będzie, jeśli się niepostrzeżenie wyniesiesz...

— Już ja się znam na tem!... Nieraz już po kolacyi jeździłem do Rygi i wiem jak się w tym wypadku zachować!

— To doskonale!... Na dachu czeka już przygotowany aeroplan, który cię odwiezie na miejsce... Po powrocie napisz dokładne sprawozdanie!...

Pojechałem zatem i ani się oglądnąłem jak byłem w Rydze. Aby nie budzić rozgłosu, wylądowałem za miastem i piechotą udałem się do Hotelu Petersburskiego, gdzie rozkwaterowała się rosyjska delegacya. Była godzina ósma rano, niezawodnie więc zastanę pana Joffego. Albo jeszcze śpi, albo już spi, delegacya bowiem lubi w dzień radzić, a w nocy natomiast się bawi.

Nie spał już. Widocznie pracował, z gabinetu jego wyszła maszynistka, na której wi doczne były trudy nieprzespanej nocy... Dyplomata nie ma spokoju ani w dzień, ani w nocy...

Poprosiłem jednego z sekretarzy, aby mnie zameldował, sam tymczasem czekałem w salonie.

Do uszu mych doszedł następujący dyalog:

— Klapa, panie prezesie!

— Z czem znowu?... Kto co zbyczył?... Pewnie Nachamkes zrobił znowu awanturę w Anglii... Ten człowiek nie nadaje się na dyplomatę, jest zbyt gorąco kąpany!

— To nie taka klapa, jak pan prezes sądzi!... To przyjechał z Paryża pan Klapa i chciałby się widzieć z panem prezesem!

— Dyabli nadali!... Znów jeden więcej nudziarz, ktory chciałby człowiekowi głowę zawrócić!... Ale trudno!... Prosić!...

Wszedłem zatem do gabinetu, właśnie w chwili, gdy pan Joffe chował coś do szafy. W tem „coś" bystre moje oko rozpoznało damską sznurówkę. I żal mi się zrobiło biednej maszynistki... Praca była widać ciężka, skoro musiała zdejmować sznurówkę... Wogóle ma szynistki, jak to sam stwierdziłem, nie powinny używać sznurowek, ktore utrudniają im ruchy podczas urzędowania.

— Pan prezes pozwoli... — rzekłem z powagą. — Jestem Klapa z Krakowa, a chwilowo z Paryża!...

— Bardzo się cieszę — odpowiedział. — Ja już dawno chciałem pana poznać, bo trzeba panu wiedzieć, że ja abonuję *Bociana*... Z nim się kładę do łóżka i tam sobie na głos czytamy różne kroniki!... Bo i moja żona też należy do zwolenniczek *Bociana*... Tyle tygodni niema mnie w domu!... Każdy numer posyłam jej rekomendowany do Moskwy!... Bardzo się cieszę!... Ja już odbyłem sto dwadzieścia wywiadów, to mogę sobie pozwolić i na sto dwudziesty pierwszy!... ...Od tego jest pan Joffe, aby udzielał wyjaśnień... Pan pewnie słyszał już o Joffem?

— O tak!... Nie tylko słyszałem, ale i czytałem na własne oczy!...

— A widzi pan! Pan Joffe, o którym teraz cały świat mówi więcej, niż o Lloyd George'u, to ja!... Ja już zamówiłem trzydzieści pokoi, ale to dla mnie nic!... Pokój *hien*, pokój *her*... u mnie to idzie, jak z rękawa. Dla mnie zawrzeć pokój, to tyle, co innemu zjeść kawałek śledzia!... I co pan, panie Klapa, powie do tego, że ja tak zawieram pokoje na prawo i lewo?... Pokaż mi pan drugiego, który tyle pokoi i w tak krótkim czasie miałby na sumieniu!... Może pan słyszał, że kto chce pokój zawrzeć?... Proszę mnie polecić!... Procent ma pan pewny!...

I podał mi swój bilet, na którym wielkiemi literami wypisano: **Adolf, syn Abrahama, Joffe** i pierwsze światowe pośrednictwo pokojowe... i podany bliższy adres.

— Ja panu coś powiem — mówił dalej pan prezes. — Te korespondenty od gazet, to oni mi już całkiem zawrócili głowę. Ale i ja im też zawróciłem!... Każdemu powiedziałem co innego, to właśnie to, co jemu się najbardziej musiało podobać. Ale z panem, panie Klapa, to ja będę rozmawiać zupełnie inaczej, bo ja wiem, że pan ma bardzo delikatny rozum i pewien gust, taki, jak pan Dabski, politycznie bardzo dystyngowany!... Z takimi ludźmi to warto mieć do czynienia!... Napisz to pan w swojej gazecie, że to jest „kawał" od Joffego!... Moja żona bardzo się ucieszy, gdy się dowie, że ja jestem współpracownik od *Bociana*... My się ciągle bardzo kochamy i całujemy się trzy razy na noc... Na „dobranoc", w środku, gdy się obudzimy i na „dzień dobry"...

Jak pan myśli, całowanie to robota, czy przyjemność? Bo, jeśli robota, to w niedzielę i święto trzeba sobie dać spokój...

— Ja sądzę, że to raczej przyjemność!

— Ma pan racyę!... Ja mówiłem, że u pana Klapy jest bardzo delikatny rozum jak u prawdziwego dyplomaty!... I ja jestem tego samego zdania i dlatego, o nie przyjdzie do czegoś podobnego, sam się z tem załatwiam... Gdyby to była robota, mógłby mnie zastąpić który z sekretarzy.. A mam ich trzech. Ale chodź pan!... Przedstawię pana członków naszej delegacyi, bo oni tam na mnie czekają.

W drodze do „Domu czarnogłowych" (ulokowaliśmy się w samochodzie, ozdobionym czerwonemi chorągiewkami, a drącym się przeraźliwie), rozmawialiśmy o obecnej sytuacyi, kursach giełdowych, naturalnie i o tem, co mnie tu sprowadziło

— Pan możesz powiedzieć panu Millerandowi — mówił — że już moja w tem głowa, aby pokój był jak najprędzej. Jaki on będzie, to mniejsza!... Grunt, by był!... A pokaże się, że jest doniczego, zawrze się inny... Ja to zrobię bardzo tanio!... Ja również zawierałem także pokój brzeski... Ale ten mi się nie udał. Nawet moja stara, choć ona nie ma pojęcia o polityce, powiedziała do mnie, gdy stamtąd wróciłem: „Adolfku!... mnie się zdaje, że ty się trochę spaskudziłeś!...") Zaczęła jakoś nosem kręcić.. Ale ja sobie z tego nic nie robię!... Pojechałem do Berlina i za karę tam nowy pokój...

W Domu czarnogłowych" była już zebrana cała rosyjska delegacya. Pan Joffe przedstawił mi jej członków, ale tych młodszych i okrągłejszych:

— Pan Nachamkes... pan Firułkes... pan Rosenzweig... pan Korpules... — wspominał nadto kilku jeszcze innych, podobnie brzmiących. Gdy się zbliżyliśmy do gromadki chłopców w wytartem ubraniu i zapadłymi bokami i policzkami, machnął pogardliwie ręką i rzekł:

— To profesorowie uniwersytetu!... Ci przystali do nas dla kawałka chleba. Oni przyjechali tu, jako rzeczoznawcy, ale mogą także gadać, co się im podoba, a ja robię, co uważam za stosowne!... Od tego mam *kepele!*...

I wyprostował się dumnie.

W tej chwili rozległ się głos dzwonka elektrycznego. Był to znak, że przedstawienie... *pardon*. chciałem powiedzieć: posiedzenie się rozpoczyna!...

Co też widziałem i słyszałem, o tem w najbliższym liście. Za jednym zamachem wszystkiemu nie dam rady. Chwalić się nie lubię, zaznaczę przecież dyskretnie, iż, jeśli rozejm w dniu 18 października podpisano, to tylko moja w tem zasługa!...

Podróż do Rygi zmęczyła mnie. Jak długo tu zabawię nie wiem, jak również, dokąd się stąd udam.

Przyjmijcie pocałunek pokoju od

Waszego

Klapy.

Z ludowych motywów.

Chałupeczka niska,
Ojciec matkę ściska,
Ściska ojca matka
Chociaż niska chatka.

Niska chatka... Matka
Mocno ściska tatka,
A choć dom jak klatka,
Matkę ściska tatka.

Dzisiaj większa chatka,
Lecz nie ściska matka,
I nie ściska tatka,
Zaszli bowiem w latka!

Właściciel wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krzyżewski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Kraszmarskiego.



— Gdzie pani była przy wojsku?
— Przy piechocie... podporucznikiem!